

Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 274 (8305) Białystok — Łomża — Suwałki, 2—3—4 grudnia 1977 r. NAKŁAD: 187.293 Cena 1 zł

Wizyta Edwarda Gierka w Watykanie Rozmowa z papieżem Pawłem VI

REYM (PAP) — 1 bm., po zakończeniu wizyty oficjalnej w Włoszech I sekretarz KC PZPR Edward Gierek złożył wizytę w Watykanie i odbył rozmowę z papieżem Pawłem VI. Spotkanie to, w czasie którego Paweł VI i Edward Gierek wygłosili przemówienia jest kontynuacją aktywności Polski na arenie

międzynarodowej — służącej sprawie odprężenia i pokoju. Jest wyrazem szacunku Polski dla papieża Pawła VI i jego wkładu w dzieło pokoju, jest konsekwencją rozwijających się coraz lepiej stosunków naszego kraju ze Stolicą Apostolską i stanu stosunków Państwa z Kościołem potwierdzonego spotkaniem I sekretarza

KC PZPR Edwarda Gierka z kardynałem Stefanem Wyszyńskim. To doniosłe wydarzenie jest też przejawem polityki Polski Ludowej konsekwentnie umacniającej jedność wszystkich Polaków.

Godzina 9.30. Przez Plac Świętego Piotra przejeżdża kolumna aut, na jej czele czarny samochód z białą-czerwona

flaga. Samochody wjeżdżają w obręb miasta watykańskiego przez bramę pod dzwonnica. Żołnierze gwardii szwajcarskiej w galowych mundurach prezentują broń.

Kolumna aut wąskimi uliczkami Watykanu dojeżdża na dziedziniec św. Damazego, stan-

ciąg dalszy na str. 2

Zakończenie pobytu we Włoszech

REYM (PAP) — Sprawozdawcy PAP, Zdzisław Mościński i Waldemar Kedaj przyjeżdżają do Warszawy.

Edward Gierek spotkał się z ambasadorami PRL w Rzymie z dziennikarzami. Na konferencji prasowej przybyli dziennikarze włoscy i korespondenci zagraniczni. Przebieg konferencji utrzymywały liczne ekipy filmowe i telewizyjne.

Pragnę wyrazić — powiedział na wstępie E. Gierek — głębokie zadowolenie z koń-

czącej się dzisiaj wizyty w Republice Włoskiej. Rad jestem z rezultatów rozmów. Były one w naszym odczuciu szczerze i konkretne, konstruktywne i przyjazne. Dotyczyły one zarówno stosunków dwustronnych, jak i najważniejszych problemów pokoju i współpracy w Europie, kontynuacji i dalszego pogłębiania polityki odprężenia i stosunkach międzynarodowych.

Stwierdził przy tym, że współpraca polsko-włoska rozwija się dobrze, przynosząc

wymierne korzyści i satysfakcję obydwu stronom. Obecnie jednak powstają warunki dla dalszego jej zdynamizowania we wszystkich dziedzinach życia, a zwłaszcza w sferze gospodarczej, gdzie duże potencjały obu krajów i wzajemna komplementarność stwarzają obiektywne przesłanki dla znacznie szerszych związków. Podpisane w czasie wizyty nowe porozumienia otwierają obszary dla konkretnych inicjatyw w problematyce surowcowo-energetycznej, dla

nawiązywania kooperacji między małymi i średnimi przedsiębiorstwami, jak i dla współdziałania na rynkach trzecich. Ceniemy sobie zainteresowanie współpracą z Polską ze strony włoskich kół gospodarczych, co znalazło wyraz w wejściu wybitnych ich przedstawicieli do powołanego obecnie wspólnego komitetu ekonomicznego i co tak mocno potwierdziło się podczas naszego wczorajszego po-

ciąg dalszy na str. 2

Uznanie dla górniczego stanu

BARBÓRKA — chiubna tradycja górniczego stanu. W tym dniu płyną z całego kraju na Śląsk i do wszystkich ośrodków wydobywczych serdeczne słowa uznania i podziękowania za ogromny wkład w ogólnonarodowy rozwój oraz równie serdeczne życzenia dalszych pięknych osiągnięć i pomyślności w życiu osobistym.

Święto czołowego oddziału klasy robotniczej — górników jest świętem całego naszego narodu. Górnictwo należy bowiem do najważniejszych dziedzin narodowej gospodarki i od niego zależy pomyślna realizacja naszych ambitnych zamierzeń i celów. Bo węgiel potrzebny jest we wszystkich gałęziach gospodarki, a także dla potrzeb ludności miast i wsi.

ciąg dalszy na str. 3



NA ZDJECIU: górnicy oddziału G-2 kopalni „Powstańców Śląskich” oczekują na podsyblu na wyjazd. CAF — Jakubowski

Nowa inicjatywa „Gazety Współczesnej”
spotkań z plastyką, teatrem i muzyką
Możliwość atrakcyjnego spędzenia czasu wolnego
Zaproszenie wszystkich miejscowości, instytucji, szkół i organizacji
Apel do ambitnych
Nasze hasło: bliżej sztuki!
W finale — satysfakcja, puchary, nagrody, spotkanie w warszawskim Teatrze Wielkim

PRZYGODA Z MUZĄ

Od dzisiaj rozpoczynamy akcję informacyjno - publicystyczną i organizatorską pod hasłem „PRZYGODA Z MUZĄ”, którą adresujemy do wszystkich mieszkańców województw: białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego. Jej celem jest intensyfikacja oraz koordynacja wysiłków w dziedzinie upowszechniania muzyki poważnej, plastyki i twórczości teatralnej. Nasza nowa akcja, która ma charakter konkursu, powinna pobudzić działaczy społecznych i pracowników kultury — zwłaszcza w gminach, miasteczkach, zakładach pracy i szkołach — do podejmowania wszechstronnych działań, powiększających rzeszę świadomych odbiorców sztuki.

Uczestnikami „Przypadu z muzyką” mogą być wszyscy, którzy zorganizują przynajmniej jeden zbiorowy wyjazd (minimum 15 osób) na spektakl teatralny, koncert muzyki poważnej lub na wystawę plastyczną — do Białegostoku, Warszawy, Olsztyna, bądź też do innego miasta, w

którym możliwe będzie obejrzenie wystawy czy uczestnictwo w koncercie.

Przygotowanie na swoim terenie — w domu kultury, szkole, zakładzie pracy itp. — występu aktorów czy muzyków profesjonalnych albo ekspozycji sztuki oraz zapewnienie im publiczności — oto drugie podstawowe zadanie uczestników „Przypadu z muzyką”.

Dodatkowo oceniane będą imprezy towarzyszące: spotkania i dyskusje z twórcami z dziedzin sztuki objętych konkursem; prelekcje specjalistów; wykorzystanie dzieł sztuki w dekoracji zakładu pracy, placówki kulturalnej, szkoły itp.; zbiorowe formy dyskusji nad programami telewizyjnymi poświęconymi teatrowi, muzyce poważnej i plastyce.

Uczestnictwo w jakiegokolwiek innej akcji bądź konkursie o podobnym profilu nie wyklucza udziału w „Przypadzie z muzyką”.

ciąg dalszy na str. 3

Co robi Polak?

Dzień obywatela

Jak wygląda nasza doba? Ile czasu statystyczny Polak poświęca na pracę zawodową, wypoczynek, rozrywkę i inne czynności? Czy w ostatnich latach rozkład naszych dni uległ jakimś istotnym zmianom? Czy na własny użytek mamy więcej czasu, czy mniej? Miarodajnej odpowiedzi na te i inne pytania dostarczą badania porównawcze GUS-u z roku 1969 oraz 1976. Oto nie które wyniki.

Mozna by np. sądzić, że praca zawodowa powinna nam obecnie zajmować znacznie mniej czasu. W latach dzielących badania zyskaliśmy bowiem 12 wolnych sobót, wydłużyły się przeciętne urlopy i nowe grupy zatrudnionych objęte zostały skróconym wymiarem czasu pracy. I rzeczywiście, średni dzienny czas pracy jest obecnie krótszy, bo o 1 godz. 11 min., krótszy niż w 1960 r. (wynosił on 7 godz. 44 min.). Równocześnie jednak wzrosła się liczba przeciwna tendencja: do podejmowania dodatkowych prac zarobkowych. W rezultacie codziennie zajęcia zawodowe zajmują nam zaledwie 11 minut mniej niż 7 lat temu. Taka jest średnia statystyczna. W przekładzie na praktykę

dnia codziennego oznacza ona, że stale się zwiększa liczba Polaków zajętych zarobkowaniem „na okrągło”, od rana do późnego wieczora. Rano — zgodnie z etatem i formalnym czasem pracy, później — w godzinach nadliczbowych, wykonując pracę zleconą i różnego rodzaju chałturę. W takim układzie mozaika pracy i wypoczynku w ciągu dnia tworzy przedziwny przekładaniec, w którym — jak sądzić — ani praca nie może być wydajna, ani wypoczynek należyty.

Wracając do badań — co mówi statystyka o rozkładzie naszego czasu w dni robocze i niedziele? Jak na to wpłynęło wprowadzenie wolnych sobót?

ciąg dalszy na str. 4



ROZMOWY NIEOFICJALNE

OSTROŻNIE, CZŁOWIEK!

Rozmowa z NATALIĄ ŁAZIKOWSKĄ, mistrzem zmi anowym Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego i jej córką ANNĄ MARCZUK — przedkąd w tychże zakładach)

STANISŁAW ZAGÓRSKI: — Trudno mi było panią znaleźć, pani Natalia.

NATALIA ŁAZIKOWSKA: — Jak ktoś chce, to zawsze do mnie trafi. No, jestem teraz jakby bezdomna. Swoje mieszkanie oddałam synowi Jankowi. Wie pan jak to jest, młode małżeństwo, dziecko, muszą gdzieś mieszkać. Jakis czas mieszkaliśmy w przyjaźni, a teraz u córki. Tak same od pewnego czasu gospodarzamy.

S. Z.: — I w zakładzie też razem, na jednej zmianie?

ANNA MARCZUK: — Nie...

S. Z.: Czy pani nie chciałaby mieć córki na swojej zmianie?

ANNA: — Ja już z mamą pracowałam, nie chcę.

NATALIA: — To było bardzo krótko. Nawet lepiej, że teraz nie razem...

S. Z.: — Dlaczego?

ANNA: — Po prostu ze względu na ludzi.

NATALIA: — Bo ludzie zaraz gadają, mają jakieś ale.

S. Z.: — Zarobki wchodzą w grę?

ANNA: — Nawet nie o to chodzi. Urlopu latem nigdy nie mogłam mieć, bo jak to dwie jednocześnie na urlopie? Nieraz trzeba było się zwolnić na godzinę, dwie. I zaraz

ciąg dalszy na str. 3

Zapowiada się ciepły grudzień

WARSZAWA (PAP) — Tegoroczny grudzień zapowiada się nieco cieplejszy niż normalnie. Średnia temperatura miesiąca spodziewana jest powyżej normy tj. ok. plus 0,4 st. Natomiast opady będą zbliżone do normy.

W pierwszej dekadzie grudnia temperatury maksymalne będą w granicach od minus 3 do plus 2 st. Zasiłki temperatury minimalne od 0 do minus 5 st., z możliwością występowania lokalnie jeszcze niższych. Zachmurzenie przeważnie duże z opadami śniegu lub deszczu ze śniegiem.

W drugiej i trzeciej dekadzie wystąpi oświecenie. Temperatury maksymalne będą w granicach od 0 do plus 5 st. z możliwością wyższych; zaś temperatury minimalne — od minus 2 do plus 3 st. Spodziewana ma także niewielka opady. Według wstępnych ocen tegoroczny grudzień może być zbliżony do grudnia 1976 r., który był dość ciepły z jedną kilkudniową falą mrozów.

pogoda

PROGNOZY DLA WOJEWÓDZTWA: białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego.

DZIS — zachmurzenie duże, możliwe niewielkie opady śniegu. Temperatura: w sobotę — 2 — 4 st., w niedzielę — 3 — 5 st. C. Wiatr: słaby zmienne.

JUTRO — okresami opady śniegu lub śniegu z deszczem. Ciepło. Temperatury: w piątek — 1 — 3 st., w sobotę — 2 — 4 st., w niedzielę — 3 — 5 st. C. Wiatr: słaby zmienne.

Barbary, Bernarda. (r)

z trzech województw

POSIEDZENIE EGZEKUTYWY KW PZPR W ŁOMŻY

Obradująca na wczorajszym posiedzeniu Egzekutywa KW PZPR w Łomży przyjął plan polityczny i organizacyjny przygotowania zbliżających się wyborów.

Egzekutywa zaakceptowała również program działań politycznych i społeczno-gospodarczych, jakie zostaną podjęte przed II Krajową Konferencją Partijną. Komitety zakładowe, POP, OOP, koła ZSMP podjęły już szereg prac mających na celu podejmowanie inicjatyw dynamizujących produkcję, podnoszących na wyższy poziom gospodarowanie materiałami i surowcami. Jednym z wielu czynników wspierających te działania będą efekty uzyskane w trakcie realizacji przez instancje związkowe zawodowego programu przyjętego po VIII Kongresie. Członkowie Egzekutywy zapoznali się z informacją na ten temat.

Wojewódzka Rada Związków Zawodowych ogłosiła m. in. współzawodnictwo zakładów pracy o propozycję przechodni wojewody łomżyńskiego i przewodniczącego WRZZ. Przyjął go 38 zakładów. W województwie działa 231 brygad, z których 75 posiada tytuł brygady pracy socjalistycznej, a we współzawodnictwie uczestniczy 2.168 osób. (zp)

UMOCNIENIE RÓWNOWAGI RYNKOWEJ TEMATEM NARADY W KW PZPR W BIAŁYMSTOKU

1 grudnia br. odbyła się w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Białymstoku narada sekretarzy POP, dyrektorów i prezesów organizacji handlowych i zakładów produkcyjnych na rynek.

Naradę, w której uczestniczyli I sekretarz KW partii w Białymstoku — Władysław Juszkiewicz i przedstawiciele KC PZPR — Michał Niedźwiedz, zorganizował Wydział Ekonomiczny KW oraz Wydział Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej KW.

Referat wygłoszony przez sekretarza KW PZPR w Białymstoku — Stanisława Zielińskiego oraz dyskusja, poświęcone były problemom związanym z umocnieniem równowagi rynkowej i zadaniami wynikającymi z postanowień IX Plenum KC. (as)

ciąg dalszy na str. 2

UZNANIE dla górniczego stanu

Ciąg dalszy ze str. 1

Górnictwo węglowe to nasz tradycyjny naródowy przemysł, ale dopiero w Polsce Ludowej nastąpił jego najbujniejszy rozkwit. Pod względem wielkości wydobycia znajduje się on na czwartym miejscu w świecie (w tym roku wydo-

będzie się ok. 190 mln ton), a w eksporcie na drugim miejscu. Węgla kamiennego jest ważnym towarem w obrotach handlowych z zagranicą.

W minionych 33 latach uzyskaliśmy wspaniałe rezultaty. Zbudowanych zostało około 20 nowych kopalń i zmodernizowanych kilka-

Węglowego. Rozwija się także Belchatowski Kombinat Paliwowo-Energetyczny.

Budujemy i unowocześniamy kopalnie węgla oraz inne gałęzie polskiego przemysłu wydobywczego — miedź, siarka, rudy cynku i ołowiu, sól, gaz ziemny. Rozwijamy zaplecze naukowe — polskie górnictwo należy do najbardziej zaawansowanych na świecie. Jednakże każdego roku wydatkujemy się ogromne sumy na dalszą poprawę warunków pracy żaląg górniczych.

Nielatwa jest bowiem górnicza praca. A zadania rosną — nasz kraj potrzebuje coraz więcej węgla. Potrzebuje go dynamicznie rozwi-

Jan przemysł, handel zagraniczny i społeczeństwo.

Barbórka — święto górników, także rodem z województwa białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego. Przesyłamy im wszystkim gorące podziękowania za twórczy trud i jak najlepsze życzenia.

Zyczenia powodzenia składamy też ekipom badawczym na Suwalszczyźnie oraz obchodzącym święto Barbórkowe pracowników Zakładów Eksploatacji Kruszywa w Sobolewie koło Suwałk i żaląg Kornickich Zakładów Kredowych w Mielniku nad Bugiem. Niech Wasza praca przynosi krajo- i narodowi coraz większe efekty, ku naszemu wspólnemu dobru. (rk)

PRZYGODA Z MUZĄ

Ciąg dalszy ze str. 1

W celu inspirowania i koordynowania działań poszczególnych przedsiębiorstw i instytucji, szkół i organizacji społeczno-politycznych oraz placówek kultury — w każdej gminie i mieście powinien być utworzony kilkuosobowy sztab organizacyjny, który będzie czuwał nad sprawnym przeprowadzeniem akcji w swojej miejscowości. W każdym z 3 województw zostanie powołana — pod przewodnictwem dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW — specjalna komisja, w której skład wejdą przedstawiciele instytucji i organizacji badających współorganizatorów akcji: WRZZ, ZSMP, RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Kuratorium Oświaty i Wychowania, WPHW i WSS „Społem”, WZKR i WZSR oraz OST „Gromada”. Zadaniem jej będzie mobilizowanie do udziału w „Przygodzie z muzyką” oraz ocena realizacji zadań konkursowych na terenie województwa.

Ciąg dalszy ze str. 1

NATALIA: — Nauczanie, to ciężka praca.

ANNA: — A teraz to mam lżejszą...

S. Z.: — Miałem możliwość obejrzeć pani akta personalne. Spora toteczka. Na początku położyła już dokumenty: życiorys na kartce wyrwanej z zeszytu, kwestionariusze, deklaracje, odciśnięcie palca, uwierzytelniony własnoręcznym podpisem, dwudziestopięcioletni wywiad, a wśród nich opania z lat czterdziestych: „Stopień uświadomienia społecznego — dobry; działalność partyjna — dobra; działalność zawodowa — bardzo dobra; dyscyplina — bardzo dobra; dyscyplina

NATALIA: — Jak nie jest energiczna, to sobie nie poradzi. Za dobrym nie można być. Następuje wtedy rozluźnienie dyscypliny i robota się rozluźnia.

S. Z.: — Pracuje pani wśród bawelinianej bieli. Czasami jest jej tak dużo, że twarze ponoc ledwie widać.

NATALIA: — Na całej przedziałni tak jest. Dostajemy bawelinę w belach, trafia ona na rozluźniarki, później na trzepak i wreszcie rozluźniarki, wyczesana, wyczeszona z terek na nasenny piasek, schodzi w taśmarnię, zgrzeblarek, trafia na nasze maszyny ob-

W celu inspirowania i koordynowania działań poszczególnych przedsiębiorstw i instytucji, szkół i organizacji społeczno-politycznych oraz placówek kultury — w każdej gminie i mieście powinien być utworzony kilkuosobowy sztab organizacyjny, który będzie czuwał nad sprawnym przeprowadzeniem akcji w swojej miejscowości. W każdym z 3 województw zostanie powołana — pod przewodnictwem dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW — specjalna komisja, w której skład wejdą przedstawiciele instytucji i organizacji badających współorganizatorów akcji: WRZZ, ZSMP, RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Kuratorium Oświaty i Wychowania, WPHW i WSS „Społem”, WZKR i WZSR oraz OST „Gromada”. Zadaniem jej będzie mobilizowanie do udziału w „Przygodzie z muzyką” oraz ocena realizacji zadań konkursowych na terenie województwa.

Komisje wojewódzkie podsumują wyniki akcji w oparciu o nadesłane raporty i bieżącą obserwację działalności w poszczególnych miejscowościach. Przy ocenie efektów uwzględnione zostaną warunki poszczególnych miejscowości i środowisk, stopień pokonanych trudności itp. Każda z komisji wojewódzkich zakwalifikuje do finału 5 najaktywniejszych miejscowości, 10 produjących w tym zakresie przedsięwzięć, organizacji i placówek oraz 10 najbardziej wyróżniających się realizatorów indywidualnych.

Podsumowanie akcji, połączone ze spotkaniem wszystkich finalistów w redakcji „Gazety Współczesnej” i 2-dniowym wyjazdem do Teatru Wielkiego i galerii warszawskich, odbędzie się w maju — podczas Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy.

Siedem najbardziej w naszym regionie aktywnych w krzewieniu kultury muzycznej, teatralnej i plastycznej miejscowości uhonorowanych zostanie pamiątkowymi pucharami. Najaktywniejszym instytucjom przyniesione zostaną nagrody w postaci telewizorów, magnetofonów, instrumentów muzycznych, obrazów, kompletów płyt itp. Najbardziej zaangażowani realizatorzy „PRZYGODY Z MUZĄ” otrzymają nagrody pieniężne, a także wartościowe płyty, albumy itp.

Nasza akcja trwać będzie od 2 grudnia br. do 31 marca przyszłego roku.

Zgłoszenia do konkursu należy nadesłać — pod adresem dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego — w terminie do 31 grudnia br., podając nazwę miejscowości, nazwisko i adres szefa sztabu akcji, czy też kierownika zgłaszającej się instytucji oraz kilkunastową informację o wstępnych przedsięwzięciach, choćby organizacyjno — przygotowawczych.

W terminie do 15 kwietnia 1978 roku uczestnicy konkursu powinni nadesłać — pod adresem dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW — raporty o przebiegu akcji w mieście czy gminie — z podaniem krótkiego opisu realizacji zadań konkursowych.

W terminie do 15 kwietnia 1978 roku uczestnicy konkursu powinni nadesłać — pod adresem dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW — raporty o przebiegu akcji w mieście czy gminie — z podaniem krótkiego opisu realizacji zadań konkursowych.

„Gazeta Współczesna” przez cały czas trwania akcji zamieszczać będzie relacje o jej przebiegu, sylwetki wyróżniających się organizatorów imprez konkursowych oraz recenzje teatralne, muzyczne i plastyczne, ułatwiające właściwy odbiór dzieł.

OSTROŻNIE, CZŁOWIEK!



Matka i córka. Natalia Łazikowska i Anna Marczuk z Zambrowa.

NATALIA: — To trudno powiedzieć. Dziadek pracował na fabryce. Z dziesięciorga dzieci jakie miał wszyscy do roboty we włókiennictwie poszli, tylko jeden w monopolu tytoniowym pracował. Co się działo, Łódź to przecież drugi Manchester i każda rodzina z włókiennictwem miała do czynienia. Ojciec na Ponorach, w przedziałni. U Zydów pracował, mamusia była przadką w włókienniczej manufakturze, a później, kiedy tu ze mną przyjechała, do Zambrowa, też robiła na przędziarkach. Odziedziczyła więc zawód, tak jak chłopi dziedziczyli ziemię z pokolenia na pokolenie.

ANNA: — Ale ja nie musiałam dziedziczyć, a jednak tak wyszło...

NATALIA: — Chciała być nauczycielką, ale ja się sprzeciwiałam. Wstąpiłam do technikum włókienniczo — rolniczym. W Łodzi, syna też tam skierowałam. Ale przeliczyłam. To się z ich i swoimi siłami. To się już koszt. Nie dawałam rady, tym bardziej, że mąż stał chorewał i prawie go nigdy w domu nie było, bo ciągle w szpitalach, sanatoriach. Mieszkał u rodziny na stacji. Placami miesięcznie 1000 zł na dwoje, a zarabiałam — 1800. Po roku musiałam je zabierać... Hania, daj walki, kochana dziewczyno, bo później będziesz się spieszyła na zmianę i nie zakreścis mi włosów... (Anna wnosi do pokoju torebkę pełną metalowych wałków, wodę w miseczce, i kawałkiem waty zwilżoną po kolei pasemką szpakułacjących włosów).

S. Z.: — Córka i syn nie mają średniego wykształcenia, a pani ma. Jak to się stało?

NATALIA: — To długa historia. Zaczęła się jak mnie w czasie okupacji wywieziono na roboty do Austrii, gdzie zresztą Hania się urodziła. Tam przyjechałam do zawodu. A po wojnie, co, powróć do Łodzi i praca w włókienniczej fabryce włókienniczej. Widocznie dobrze pracowałam, bo w 1951 roku skierowano mnie do technikum, jak się to wtedy nazywało, dla robotników wysuniętych. No i skończyłam je, bo jak coś się zaczęło, to wstyd byłoby przerwać. A dzieciom zabrakło jakiegoś uporu, czy też ambicji.

ANNA: — To co, uważasz, że jestem mało ambitna?

NATALIA: — Ona się u- wzięła, że ja jej nie dałam na nauczycielkę iść. Była zdolna, kierowniczą szkołę z nią obstawiała...

ANNA: — Mama mówiła, ostatni kawałek chleba będziesz miała...

nia, takie „barany” ma pani na maszynach. Bo jak się rwie to asortyment zły i powinno się rwać na wszystkich maszynach. Dlaczego akurat u jednej? Sprawdzę jeszcze wentylator, może nie wciąga. I jak nie zawodzi technika, to w grę wchodzi dyspozycja psychiczna. Ona dopiero mi zaczyna mówić: a to dziecko rękę złażmo, a to mąż nie przyszedł do domu na noc, a to się rozpił, a to z jakichś powodów źle spała... Tak się zwierza. Słucham i staram się im jak mogę pomóc. Są też u nas przadki słabsze, chore, a to narzeka na ręce, inna na nogi, a tu gorąco, bo klimatyzacja w związku z modernizacją zakładu nieczynna, trzeba w duchocie te 8 godzin chodzić wokół maszyn. Jak już widzę, że ona nie może, to staram się dać jej kogoś do pomocy, żeby ją ktoś wyrwał do końca zmiany. I one to sobie cenią, pamiętają. Jak ubiegłej wiosny grypa była, maszyna po maszynie unieruchomiona, bez obsługi to przadki, którym wypada planowany urlop, na moją prośbę odkładają go.

S. Z.: — Ktoś mógłby powiedzieć, że pani za bardzo rozpieszkała te swoje przadki i obciagać.

NATALIA: — Ja mam po prostu serce, a doświadczonych życiowych często gorzkich

Wracając do osiedla na Grunwaldzkiej, gdzie mieszkają matka i córka, zerkam na cały jeszcze w poświęconej czerwieni Zakład, który właśnie otrzymał nazwę „Revolucji Październikowej”. Widocznie zaczęła pracę popołudniowa zmiana, bo wokół zakładu pełno spieszących do domu kobiet i dziewcząt. I te młode, i te starsze tęgną hasła: „Młodzi — twoja wiedza jest skarbem ojczyzny”, „Szacunek i uznanie zdobywacie dzięki wysokim kwalifikacjom i wydajnej pracy”. Jest dokładnie godzina 14, Anna Marczuk zaczyna kolejną dniówkę.

Wielu przypadkach nie podejmuje się działań udostępniających muzykę, plastykę, sztukę sceniczną, gdyż trudno — rzekomo — konkurować z telewizją. Nie sposób tu nie docenić niektórych programów, takich jak teatr poniedziałkowy, „Pegaz” czy „Wtorek melomana”, serwujących często dojrzałe myślowo i artystycznie dzieła w znakomitych wykonaniach. Pośrednictwo ekranu odziera jednak sztukę z aury niepowtarzalności, wywołują z głębszych przeżyć, uniemożliwia zadzierzgnięcie bezpośrednich więzi między widzami a artystą. Telewizja nie daje świadomości, że uczestniczymy w czymś jedynym w swoim rodzaju, co prawdopodobnie nigdy już się nie powtórzy. Takie poczucie osiągnięcia jest jedynie w salach koncertowych i teatralnych — w bezpośrednim obcowaniu z artystą i dziełem.

Biorąc pod uwagę, że placówki kultury na wsiach i w miasteczkach borykają się z trudnościami lokalowymi i kadrowymi i bodaj nigdzie nie są w stanie zaspokajać w pełni kulturalnych potrzeb mieszkańców, naturalną rzeczą wydaje się postulat, by ich pracownicy przyjęli na siebie trud pośredniczenia w kontaktach z twórczością artystyczną. Zbyt wolno rodzi się przekonanie, że są oni w równej mierze odpowiedzialni za ruch amatorski i dostępność rozrywki, jak i za możliwość pełnego uczestnictwa w życiu kulturalnym regionu i kraju. Wyjazdy na koncerty, wernisaże i spektakle teatralne nie powinny być jedynie kwestią indywidualnych upodobań nielicznych zapaleńców, czy przypadkową atrakcją wycieczek krajoznawczych. Istnieje społeczna potrzeba, by stały się one przedmiotem systematycznych zabiegów organizatorskich, z roku na rok loskonalonych.

Chodzenie do teatru, filharmonii i galerii nie może być jedynie przywilejem mieszkańców dużych miast. Skazywałoby to sztukę na swoisty elitaryzm, niemożność szerokiego oddziaływania. Jej największą wartość. By nie dopuścić do tworzenia się zaskórników i w środowisku artystów ograniczonych do wąskiego kręgu odbiorców — konieczny jest dialog, wzajemne szerokie porozumienie. Trzeba szukać nowych widzów i słuchaczy, zaspokajać zainteresowanie różnymi rodzajami twórczości w środowiskach, które z racji swego oddalenia od większych ośrodków i pewnie nie najlepszej tradycji — dotychczas nie uczestniczyły w życiu kulturalnym. Włączenie najsłabszych rzesz odbiorców w krwioobiegi wspólnych idei i wartości artystycznych powinno być naszą wspólną ambicją.

Jakkolwiek dotychczasowy poziom upowszechniania sztuki w naszym regionie jest niezadowalający, wypracowane zostały pewne wzory, które mogą być przydatne w dalszych przedsięwzięciach. Od przeszło roku robotnicy z Hajnowskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Drzewnego przyjęli



Brat Anny, Jan pracuje w zakładach „Mera - Błonie”.

W jaki sposób w pozostałych, a także w większości gmin i miast, pozbawionych przecież filharmonii, teatrów i galerii, odbywa się wychowywanie obiorców sztuki — wrażliwych, obecnanych z głównymi prądami i kierunkami artystycznymi, zdolnych do porównań i formułowania własnych sądów?

Kadra domów kultury, klubów i bibliotek — wszystkich jedno: zakładowych, wiejskich, małomiasteczkowych — większość swej energii poświęca przygotowaniu oprawy dla różnego rodzaju uroczystości oraz hołubieniu uzdolnionych amatorów. Zbyt marginalnie traktowane są natomiast edukacyjne funkcje tych placówek, za małe znaczenie przypisuje się obowiązkom szerokiego uprzedmiotowienia wartościowych dzieł. Zamykanie się lokalnych społeczności w kręgu kilku nawet najbardziej utalentowanych rodzimych amatorów, odcienie naturalnego dopływu idei i inspiracji artystycznych.

Stanisław Zagórski

Jan Kwasiński

Konflikt Współczesny

Groźna dla otoczenia

(Działaczka kultury, wykształcenie średnie, lat 54, woj. toruńskie, praca nr 158).

Swoją zawodową pracę zaczęłam od stażu w radach narodowych, gdzie tuż po wojnie — zdobywałam z entuzjazmem ostrogi terenowego działacza. Tutaj muszę stwierdzić, że żadnych konfliktów wtedy nie było, jako, że był to okres, kiedy ludziska myśleli o pracy i chlebie. Za to kiedy w 1959 r. wyjechałam do innego województwa — to wszystko się zmieniło i zakotłowało, jak w starym garnku, o czym pragnę opowiedzieć.

Trafiam na stanowisko kierownika dużego domu kultury w pewnym niedużym mieście, które kultywowało tradycje: nie nie robić i zatrudniać wszystkich dotychczasowych kierowników. Ci zaś przeważnie po dwóch tygodniach pracy — uciekali gdzie pieprz rośnie! Postanowiłam się nie dać. Uciekali (na pewno), że jeśli będą pełną szczerą entuzjazmu i dobrych chęci, to porwę tym samym miejscową załogę do kulturalnego zrywu i zaczęłam od rozmów z Radą Zakładową. Okazało się wkrótce, że oni mieli głęboko w nosie moje dobre chęci i już po kilku dniach rozpoczęli kampanię mającą zniechęcić mnie definitywnie do wszelkich działań i skłonić do pośpiesznej zmiany miejsca pracy.

Na początek próbowałam wykurzyć mnie za pomocą... duchów. Sam przewodniczący miejscowej rady zakładowej zaszczylił mnie długą i poufną rozmową, podczas której to radził mi długo i gorąco, abym zbierała manaki i uciekała „półki co, bo może być źle”. Z dalszych jego wywodów wynikało, że przyczyną owego zła może okazać się zwiędzły duch byłego portiera tegoż domu kultury, który zmarł trzy lata temu, a teraz straszy po nocach i — cytuję: „psoci nie-możebnie, tak, że ze strachu można umrzeć”. Przyszan, że mało nie pękłam ze śmiechu, ale w parę dni później duch dał jednak znak, że istnieje i — co gorsze — działa!

Mieszkalam wtedy samotnie w owym domu kultury i pewnej nocy obudziłam się na korytarzu, zbliżając się w stronę drzwi mojego mieszkania. Nadsłuchując — stwierdziłam, że ów duch miał wyjątkowo skrzypiące buty, w których laził pracownicę po wszystkich piętrach przez całą noc. Wytrzymałam to jakoś i udawałam, że nie nie słyszałam. Za parę dni duch znów powrócił i tym razem wziął się za rzeczywiście za „psoty”. Wypuścił bowiem pianę ze wszystkich gąsienic przeciwpożarowych, która zalała korytarze, doprowadzając do ataku złości sprzątaczkę, która przez parę godzin musiała sprzątać po nocnych jego szaleństwach. W parę tygodni później duch wybił mi w nocy szyby w oknach, a kiedy wkrótce potem wracałam w środku nocy z podróży służbowej — napadł na mnie z jakimś wielkim łosem w garści i gdyby nie przypadkowy przechodzień, to nie wyszabim żywa z tego spotkania.

Nic nie pomogło, że moja praca dawała piękne rezultaty; to jeszcze bardziej złościło moich mocodawców, którzy już całkiem otworczyli mi do zrozumienia, że: „oni są tu krzaki, a ja należę do ptaków”, których tutaj się nie lubi i dlatego powinniśmy jak najszybciej zwinąć zagłę.

Musiałam więc z ciężkim sercem wędrować dalej. Otrzymałam — pamiętam — dość nęcącą propozycję pracy (z mieszkaniem) w samym sercu zabytkowego województwa. Cieszyłam się, że teraz będę mogła rozwijać się twórczo „do syta”, ale uszy mi trochę opadły, kiedy „na pniu” wszystko obejrzałam. Placówka, jak placówka — trochę pusta, odra-pa... ogrzewanie za pomocą żelaznego piecyka z wielką i bardzo dymiącą rurą — ale za to zarząd mojej nowej placówki — czysty miód! Byli szczerzy, bo na pierwszym zebraniu stwierdził z rezygnacją, że „jak już ktoś musi być, to niech będzie, ale oni wiedzą i tak, że to tylko zmarnowane pieniądze!”. Autentyczne!

Wzięłam się ostro do roboty i przez pierwsze miesiące musiałam staczać zacięte i nieudolne boje z głęboko zakorze-nionym tam zwyczajem łożenia wody o każdej porze i bez żadnej zagryzki, czyli pod „boczek”. Moje antyalkoholowe demonstracje nie znalazły oczywiście pochwały u wielkiego zarządu, który owe łożenie czynnie popierał; — dane mi wypowiedzenie z pracy nr 1. Nie reagowałam, tylko rozkręcałam robotę na cztery fajerki. Po trzech miesiącach do-stałam wypowiedzenie z pracy nr 2 na następne trzy miesiące. W dalszym ciągu pracowałam spokojnie. Doczekałam się trzeciego wypowiedzenia z pracy, tak że byłam równo dzie-więć miesięcy na wypowiedzeniu, co nie miało nie wspólne-go z aktualnie obowiązującym kodeksem pracy, ale za to miało bardzo wiele wspólnego z moją wyżej wspomnianą świętą wojną o „przyswajanie” wody w placówce.

Oni byli twardzi, ale ja też zaparłam się nogami, jak uparty osioł i robiłam swoje. Zdążyłam już możliwie ogar-nąć placówkę oraz rozkręcić działalność merytoryczną, co nieomyślnie potwierdzały skrzywione niemilosierne buzie członków mojego odpowiedzialnego zarządu, który przestał wprawdzie przysyłać mi dalsze wypowiedzenia z pracy, ale za to ograniczył fundusze na działalność do minimalnych roz-miarów. Zaczęłam więc działać bezgotówkowo, co zmuszało mnie do ciągłego podlizywania się ludziom miejscowej szuki, aby łaskawie zechcieli z zasobów swoich udziałów uszczęknąć coś dla mojej ukochanej placówki i to za darmo, czyli za frajer.

No i jakoś szło! Zespół estradowy wypucowałam na taki glanc, że oprócz całej kopy występów na terenie historycz-nego grodu i całego województwa — rok w rok jeździłam do Kolobrzegu, Zielonej Góry, Szczecina i Opola, zdobywa-jąc wysokie nagrody na festiwalach dla naszego województwa. W miarę jednak rosnących sukcesów zarząd był coraz bardziej „w poprzek” i na każdym posiedzeniu wytykał mi twarde i bezwzględnie moje grzechy główne, a w tym — wyjazd na festiwal („od śpiewania jest operetka”), czo-łowe miejsca na konkursach recytatorskich („od tych wiers-zów zemdleć może”), udane spotkania z ciekawymi ludźmi („szkoda groza dla tych darmozjadów”), no i wieczorki mło-dzieżowe („młodzieki winni siedzieć w domu”) itd.

Zatwo można więc sobie wyobrazić, jakie wrażenie ero-biła na nich wiadomość, że właśnie nasz zespół został wty-powany przez Centralną Radę Związków Zawodowych na Ogólnopolski Festiwal Młodzieży i Studentów w Berli-nie... Mój zarząd zamienił się w posąg oburzenia, zgromy i niesmaku — kubek w kubek — przysłowiowa żona Loty!... Świętymi słowami tłumaczyłam, że to jest wielki zaszczyt dla klubu i dla nich przede wszystkim, ale to był groch o ścianę. W niczym nam pomóc nie chcieli i gdyby nie ciuchy przysłane z Warszawy, to pojechałabym zupełnie golutni-cy, co może byłoby dodatkową atrakcją festiwalu.

Wrażenia w Berlinie były cudowne, za to powrót znacznie gorszy, bo mój wyjazd nie wysiłał po nas do Poznania mikrobusu (jak to było umówione) i nie mieliśmy czym wrócić do domu, jako że z potężną aparaturą nagłaśniającą trudno było pchać się pociągami. Musiałam więc zwrócić się o pomoc do Komendy Miejskiej MO w Poznaniu i zespół wrócił ze Światowego Festiwalu do swojego grodu „suka” na sygnale.

Dalsze kłopoty jednak czekały. Placówka wymagała kapitałnego remontu, bowiem ściany wyglądały jak indyjskie jajo, krzesła rozpadły się ze starości, stoliki zarte przez korni-

Ciąg dalszy na str. 5

c.d. ze str. 1

Otóż generalnie biorąc, w stosunku do 1969 r. są to zmiany nieznaczne. W dni robocze tylko nieznacznie, bo o 9 min., zwiększył się czas wolny (przeciętnie wynosi on obecnie 3 godz. dziennie). Mogło to nastąpić tylko kosztem snu, bo równocześnie wzrosło też o kilka minut obciążenie przeciętnego Polaka zajęciami gospodar-czymi i domowymi (zajmują one średnio 3,5 godz. dzien-nie). Przy tym pamiętać na-leży, że uciążliwość dnia co-dziennego rozkładają się nie-równomiernie, spadając w dalszym ciągu głównie na barki kobiet. Niemniej za-rzysowuje się również ten-dencja optymistyczna: zwiększa się liczba męż-czyzn, którzy dzielą domowe obowiązki ze swymi part-nerkami.

Przechodząc do wolnych sobót — czy sprawdziły się związane z nimi oczekiwania? Przypomnijmy tu, że przeprowadzony u nas w la-tach 1968-69 sondaż na ten temat wykazał, że 42 proc. osób opowiadało się wów-czas za familią wiza do-datkowego dnia wolnego, 15

proc. za imprezami i dozna-niami kulturalnymi i 15 proc. za turystyką.

Jak się te wyobrażenia mają do rzeczywistości? Otóż weekend po polsku w praktyce jest czasem spędzonym w rodzinnym gronie, w ciepłym domowym ognisku, najczęściej przy rozmaitych przyjemnych zajęciach, na

które nie starczało czasu i sił w ciągu tygodnia. Miano-wicie: 60 proc. ogółu Pola-ków (w tym 56 proc. męż-czyzn) zaabsorbowana jest w wolne soboty domowymi czynnościami. I tak, na pra-nie poświęca się średnio prawie 2 godziny, na sprzą-tanie — 1,5 godz., blisko 2 godziny zajmuje rodzicom wychowywanie dzieci (o pół godz. więcej niż w dniu powszednim). Reszta czasu zdominowała telewizja. Po-nadto — 25 proc. osób skła-da w tym dniu wizyty krewnym i znajomym, 16 proc. rodzin przeznaczają ten czas na spacer, przyrządzanie i celebrowanie rodzinnych o-biadów. Inne zajęcia nie rzutu-ją w istotny sposób na przeciętny obraz wolnej so-boty. Przykładowo: sport uprawia w wolne soboty za-ledwie 2,2 proc. osób, w im-prezach kulturalnych uczest-niczy zaledwie 0,4 proc., za-miasto wyjeżdża tylko 5

czy chyba o tym, że trady-cje mogłyby się zmienić szybciej, gdyby Polak miał zapewnioną, wygodniejszą komunikację, więcej tanich barów masowej obsługi i ośrodków wypoczynkowych. Obecny bowiem stan rzeczy nie zachęca nas do wyjaz-dów.

Wbrew przewidywaniom, wprowadzenie wolnych so-bót, jak dotąd, nie uwolniło nas od niedzielnych obowią-zków domowych. Niedziele poprzedzane przez wolne so-booty nie różnią się od po-zostałych. Niemniej prze-ciętny Polak dysponuje w tym dniu siedmioma godzi-nami czasu wolnego, który to prawie niepodzielnie zaanek-towała telewizja. General-nie — mały ekran zabiera nam aż 36 proc. tych nie-dzielnich wolnych chwil. Jeżeli piszemy o niedzieli i wolnej sobocie, to nie moż-na tego ilustrować codzien-

ną liczbą widzów. Co za-tem oprócz srebrnego ekranu bawi nas i zapewnia relaks? Po trosze — jak mówi sta-tystyka — życie lewarysty-kie (uprawia je regularnie 22 proc. osób), czytelnictwo gazet i czasopiśm, słuchanie radia, w mniejszym nato-miast stopniu książka i ki-no.

Nie wszyscy więc chcemy wolne chwile spędzać jedna-kowo i nie wszyscy mamy jednakowe możliwości, by go w ogóle ciekawie, zgodnie z własnymi upodobaniami spędzać. Jeżeli dodamy do tego dążenie do cią-głego podnoszenia mate-rialnego poziomu życia (pra-ce dodatkowe), to okaże się, że mimo formalnego wzros-tu ilości czasu wolnego, ży-jemy wciąż w warunkach sprzyjających utrwalaniu się biernego, familijnego mode-lu życia — w hotelu, przed telewizorem. Ze na wy-poczynek aktywny jesteśmy częściej po prostu za-bar-dzo zmęczeni.

BOŻENA PAPIERNIK

Dzień obywatela

proc. za imprezami i dozna-niami kulturalnymi i 15 proc. za turystyką.

Jak się te wyobrażenia mają do rzeczywistości? Otóż weekend po polsku w praktyce jest czasem spędzonym w rodzinnym gronie, w ciepłym domowym ognisku, najczęściej przy rozmaitych przyjemnych zajęciach, na



— Nie mógłbyś czytać prasy w pracy, a w domu poświęcić się rodzinie?!

Czytelnicy piszą

Kto przeciw bocianom?

DROGA REDAKCJO!

Kiedys, może 10 lat temu, było w mojej wsi Małenniki pięć gniazd bocianich. Obecnie pozostały tylko dwa. Podczas tegorocznego prze-glądu gmin przysłało z U-rzędu Gminnego w Orli de-cyzję, aby mój ojciec Taras Kaliszuk, u którego w o-bejściu znajduje się gniazdo bocianie, do dnia 10 lipca br. rozebrał stodołę krytą sto-mą. Podobną decyzję otrzy-mał drugi rolnik, Mikołaj Daniłuk, u którego również na stodołę stało bocianie gniazdo. (To były te dwa o-statnie gniazda we wsi).

W tym czasie akurat była w gnieździe liczna rodzina bociana z trzema młodymi. Podobnie u Daniłuka. Sum-mienie rolników nie pozwo-liło im zlikwidować rodzin bocianich. Po jakimś miesia-cu otrzymaliśmy ponowne po-lecenie, że mają rozebrać sto-dolę pomimo, że młode boci-ki jeszcze nie latały. Teraz rolnicy ci otrzymali po 2 tys. zł kary, za niewykona-nie polecenia.

Jak ja wiem, ile lat jest mój ojciec rolnikiem (ma 75 lat) zawsze ma na stodołę

gniazdo tych ptaków i to zawsze liczne. Były wojny, pałły się stodoły, ale jak tylko ojciec stawiał stodołę i krył stomą (dawniej zwaną kryszą), to najpierw od szczytu, aby zrobić gniazdo dla ptaka i zawsze jakoś bociany do nas wracały i były naszymi wiernymi towarzyszkami.

W ogóle mój ojciec jest miłośnikiem zwierząt. Jak matka opowiada on stałe do domu naciągają chorą za-jęję, ptaków i innych zwierząt. Potem je leczy i wypuszcza na wolność. A dziś kiedy by mu kazano zabić młode boci, to on by tego nie przeżył.

Ja się zastanawiam jak takie przeglądy przejdą w każdej wsi i urzędnicy tak się wezmą za te ptaki (bo jak wiemy, one się gnieźdzą na starych budynkach kry-tych stoma), to jaki los je czeka. Ja myślę, że wtedy będziemy tylko wspominać jakie to kiedyś były u nas piękne ptaki związane z człowiekiem i człowiek je niszczył. No bo w mojej wsi już było zniszczone 6 gniazd (słownie sześć sztuk) i nie pozostało żadne.

„Dziennik Ludowy” z dnia 17 października 1977 r. (nr 237) pisze: „W Anglii bo-ciana już nie widziano 600 lat. W Szwajcarii, Holandii, Szwecji można je oglądać jedynie w ogrodzie zoologi-cznym, a we Francji, RFN w ciągu ostatnich 40 lat po-głowie zmniejszyło się o 50 procent”.

Ja myślę, że jak u nas przejdą takie przeglądy i komisje nie zwracające uwa-gi na te ptaki, to nie trzeba 40 lat, a tylko kilka a znika-bociany. Wtedy zamienie się jeszcze jeden tragiczny roz-dział niszczenia przyrody. Ojca stodoła jest nie cał-kiem zniszczona, a jak dach stromy zagraża pożarem, no to można przykryć go in-nym materiałem ognioodpor-nym; pomóc tym starym ludziom. Po co robić im ta-kie przeżycie i w ogóle za-grażać dla środowiska?

Ja myślę, że ten co karze też lubi przyrodę. Jest to interes nas wszystkich. Stały czytelnik i miłośnik przyrody.

STEFAN KALISZUK

wieś Małenniki, gmina Orla

17-136 Gregorowce, woj. białostockie

BIAŁOWIESKI PARK NARODO-WY, jeden z trzynastu, jest najstar-szy w Polsce. Stworzony został w 1921 r. z inicjatywy i w wyniku u-silnych starań grona wybitnych przy-rodników i leśników. Ostateczne podstawy prawne otrzymał w 1947 r. i stał trzdziestolecie.

Na Białowiecki Park Narodowy składają się: ściśły rezerwat przyro-dy (4747 ha), Ośrodek Hodowli Rząd-zych Zwierząt z rezerwatem hodow-lanym żubrów i tarpanów, rezerwat

walorom stanowi unikalny warsztat pracy badawczej.

W bezpośrednim sąsiedztwie Par-ku zlokalizowane są trzy placówki naukowe — Zakład Badania Ssaków Polskiej Akademii Nauk, Stacja Geo-botaniczna Uniwersytetu Warszaw-skiego, Instytut Badawczy Leśnictwa. Nadto na terenie Parku Narodowego badania prowadzi ponad 40 placów-ek z 13 ośrodków naukowych z te-renu całego kraju. Liczba publikacji na temat Parku Narodowego i Puszczy

W puszczy

pokazowy oraz Park Pałacowy ze wszystkimi obiektami znajdującymi się na jego terenie.

Park obejmuje niewielką tylko część Puszczy Białowieckiej charak-teryzującą się dużym bogactwem szaty roślinnej i stosunkowo najlep-szym stanem zachowania puszczań-skiej przyrody. Położony jest w środku Puszczy na północ od Polany Białowieckiej.

W Białowieckim Parku Nardo-wym występują niemal wszystkie typy lasów spotykane w Puszczy Białowieckiej oraz większość gatun-ków roślin i zwierząt. Dzięki swym

czy Białowieckiej przekroczyła już 3,5 tys.

Turystyka na terenie Parku jest ściśle zorganizowana; atrakcyjne tra-sy wycieczkowe po parku i okolicy to, wyprawa do Dębu Jagielly (jego wiek oblicza się na 450 lat), który powalony został przez gwałtowną wi-churę w 1974 r. Według legendy w tym miejscu na polanie pod dębem zimą 1409 r. odpoczywał król Jagiel-ło podczas łowów zorganizowanych przed grunwaldzką wyprawą; do re-zerwatu pokazowego żubrów i tar-panów; marszrutę szlakiem Białowie-ża — Stara Białowieża — Zamcz-ko — stacja kolejowa Naręwa (28 km); do Czerlonki przez wsie Pogo-rzelce, Teremiski, Budy. (D. G.)



Rodzina żubrów w rezerwie pokazowym.

CAF — Grzęda

Wiktor Siesiejkin

Syberyjska „Wista”

Tłumaczyła: A. Zagórska

Kościół daje początek ulicy Powstańców Pol-skich, położonej w cen-trum Irkucka. Teraz cały

jeszcze w rusztowaniach, które wspięły się po sam szczyt wieży, okrywają-ją jak płótno pomnik przed uroczystym otwar-ciem.

Wkrótce Irkuckanie będą mogli obejrzeć ten odbudowa-ny już i zrekonstruowany naj-

starszy materialny pomnik polskich zesłańców na Sy-berii. Kościół stanie się mu-zeum — trwałą pamiątką wkładu Polaków w poznanie tajemnic przyrodniczych Sy-berii.

Liczne eksponaty nagroma-dzone przez naukowców i działaczy Towarzystwa Przy-jazni Radziecko-Polskiej o-brazują cały blisko półtora-wiekowy okres od pojawienia się tu pierwszych Polaków do czasów współczesnych, w któ-rych Związek Radziecki i Po-lska są przyjaciółmi i partnerami w przyjaźni i współpracy.

Wielki wkład w poznanie i przybliżanie tradycji rewo-lucyjnych obu narodów ma Uniwersytet Irkucki. Docent Wydziału Filologicznego, uc-zestnik wojny z militarys-

tyczną Japonią w roku 1945, Rościśław Iwanowicz Smir-now, jeszcze w latach szkol-nych entuzjastycznie się za-angażował w działalność kulturalną. Po demobiliza-cji, już profesjonalnie, pro-wadząc zajęcia z filologii po-równawczej, nauczył się jezy-ka polskiego, zaczął tłumaczyć na rosyjski wiersze Juliusza Słowackiego, Władysława Broniewskiego, Józefa Ozgi-Michalskiego. Rościśław Smir-now opracował też specjalny program kursu historii litera-tury polskiej na uniwersyte-ckim seminarium.

Docent Smirnow jest rów-noześnie członkiem zarządu Irkuckiego oddziału Towar-zystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej, jednym z aktywnej-szych działaczy klubu „Wis-

ta”, którego celem jest poma-nie polskiej kultury, litera-tury, sztuki. Do niedawna prze-wodniczącym oddziału był profesor S. W. Szostakowicz. Jego rodowód w jakimś mie-rze jest typowy dla wielu Po-laków, którzy swój los zwią-zały z historią Syberii, wno-sząc w rozwój jej nauki i kul-tury swój znaczny wkład.

W książce Irkuckiego uczo-nego, Siemiona Flodorowicza Kowala — „Za naszą i waszą wolność” można znaleźć, wśród wielu innych, portret Bolesława Szostakowicza, pro-toplasty rodu, który jako stu-toplasta został zesłany na Sybe-rię przed ponad stu laty. Tu-taj uczestniczył on w przygo-

NASZYM ZDANIEM

Fatyga kosztuje

Coraz bardziej jestem skłonny podzielać pogląd, że umowa zawarta osobiście z mechanikiem samochodowym systemem „z rączki do rączki” ma większą moc sprawczą niż gwarancje pisemne porozumienie między klientem a instytucją, w której ten mechanik pracuje. Owszem, klient ma prawo do żądania bezpłatnej usługi gwarancyjnej z tytułu zakupionego „malucha”, ale może ja uzyskać wtedy, gdy „Pan Józio” nie będzie miał w tym czasie swoich klientów w warsztacie. Taką okazję musi jednak poprzedzać długi okres wycekiwania. Życie na ogół nie jest pieszczotliwie dla ludzi, którzy naiwnie wierzą w przygodkowy, szczęśliwy dla nich zbieg okoliczności.

Mój znajomy srodze tego doświadczył, ponosząc podwójne straty: dotkliwe zachwianie zaufania do instytucji zajmującej się naprawami i konserwacją pojazdów mechanicznych oraz nadwężenie swoich osobistych środków finansowych, które traktował jako „zaskórnik” na ściśle określone cele towarzyskie. Jego mały fiacik, którego traktuje po prostu jak członka rodziny, przebiegł się widać, bo kichał, prychał i nie wykazywał obojętnej do szybkiej jazdy. Trzeba było wziąć wolny dzień na pozer urlopu i poświęcić ten czas na kurację kremowego pupila.

Czynność wspierane przy zawieraniu umowy z warsztatem mechanicznym miały przebieg obojętny i urzędowy, z zachowaniem wszystkich atrybutów podkreślających powagę nad klientem. Kremowy „Fiat 126p” otrzymał wreszcie pozwolenie wjazdu na teren zakładu o godzinie 14-tej, co jego właściciel uznał za akt dużej życzliwości ze strony przedstawiciela instytucji usługowej. O wyznaczonej godzinie wkroczył jednak do akcji mistrz zmiannowy „Pan Józio”. — Nie z tego, warsztat samochodowy to nie piekarnia, proszę przyjechać o 19-tej — zawyrotał i oddał się w kierunku malinowego „malucha” którego właściciel chciał zamienić z mistrzem kilka słów na osobności, bez świadków. Po tej rozmowie malinowy fiacik stał już na kanale.

Kiedy mój znajomy zjawił się ponownie w warsztacie o wyznaczonej przez mistrza zmiannowego godzinie, kolejką samochodów do „złotych rączek” mechanicznych ani drgnęła, obok natomiast płynęło wartkim strumieniem pojazdów życie nieformalne, bez zbędnej biurokracji, zleceń i pokwitowań. Z rączek właścicieli „maluchów” do „złotych rączek” mistrza. Optycznie wszystko było w porządku, któryś tam „fiacik” z urzędowej kolejki stał zawsze na kanale, tyle tylko, że z odgórną jedną nakrętką od kolektora lub ze zdjętą pokrywą głowicy. Mistrz dzielił zainteresowanie zgodnie z zasadą, że bliższa kieszonki setka niż zlecenie wydane w kantorze.

Mój przyjaciel czekając ciągle wyżywał się resztek szacunku do instytucjonalnych form funkcjonowania usług motoryzacyjnych. Wreszcie na pół godziny przed zamknięciem warsztatu mistrz zmiannowy zawyrotał: „dzisiaj nie da się zrobić, przyjdź pan jutro o szóstej rano, może będzie mniejszy tłok”. I wtedy właśnie mój przyjaciel zrozumiał bezsens swojej uporczywej wiary w umowę zawartą przy kupnie samochodu, na mocy której miał prawo do bezpłatnej naprawy gwarancyjnych. Podszedł zdecydowanym krokiem do mistrza zamykającego własnie metalową szafkę i głosem wielce ugodowym szepnął mu w ucho: „Zalutuj pan jeszcze mojego malucha”. „Zalutuj pan jeszcze mojego malucha, dogadamy się jakoś, wiem, że fatyga kosztuje”. Mistrz rozjaśnił na chwilę oblicze i odparł z wyrzutem: „to czegoś pan od razu nie powiedział, że robota pilna, przecież w papierach to nie napisane. Dawaj pan samochód na kanał”. Mój przyjaciel śmiga teraz swoim fiacikiem po wstęgu szos z ulgą, jaką dają świadomość odkrycia wielce praktycznego dla właściciela samochodu, że w branży usług motoryzacyjnych najważniejszy jest „Pan Józio” który w swoim zakładzie więcej może niż pan dyrektor i wszyscy urzędnicy w kantorze.

JERZY KOWALSKI

Panorama kultury gminnej

Co pewien czas powraca na nasze łamy temat: kultura w gminie. Powie ktoś: nic dziwnego, skoro problem jest ciągle aktualny, żeby nie rzec — nabrzmiały. Z kulturą w gminie jest jeszcze ciagle nie tak, jak trzeba. W wiejskim krajobrazie kulturalnym pokutuje dotąd obraz świetlicy, upchniętej w prywatnym domu z prostymi meblami, nie opalany piecem i zakurzonym hasiem. Jedynym nowoczesnym sprzętem jest telewizor.

Albo kto dziś będzie oglądał programy w świetlicy, gdy krzesła niewygodne, okienkowie, a podłoga usłana jest niedopalkami. Każdy woli swój własny, czy to kąt, wygodny fotel i odpowiedni nastrój. Ogólnie mówiąc: wiejskie placówki kultury prezentują się niejednokrotnie ubogo. Druga sprawa to kadra. Przy urzędach gminnych istnieje stanowisko referenta do spraw oświaty, kultury, zdrowia i opieki społecznej. Prawda jest taka, że ów referent, mimo nieraz najszybszych chęci, najwięcej czasu poświęca opiece społecznej i zdrowiu. Sprawy kultury spychane są na dalszy plan

usprawiedliwia fakt, że aż 80 proc. gospodarstw na tym terenie to gospodarstwa dwu- lub trzypokładowe, tzn. chłopo-robotnicze. Są takie wsie, jak np. Zaleszany, gdzie nie ma ani jednego rolnika z krów i kości. Większość młodzieży dojeżdża do szkół, fabryk, a tych, którzy swe plany życiowe wiąże ze statym pobytym w gminie, jest naprawdę niewiele.

Specyfika gminy warunkuje więc kierunki jej rozwoju, także w sferze kultury. Dotychczasowy stan tej kultury daleki jest od doskonałości. Na terenie gminy jest dziesięć placówek o różnorodnym starożytnym wyposażeniu.

Ludmiła Chalecka-Połocka

Tak daleko, tak blisko

z braku czasu, miejsca i środków. Z kolei panie klubowe i świetliczanki to w większości osoby niewykształczone, często niekompetentne, bez specjalnych zainteresowań i chęci rozruszania środowiska. Nauczyciele, którzy jeszcze kilka lat temu byli motorem wszelkiego działania, dziś są bardzo mocno zaabsorbowani własną pracą, a wolny czas poświęcają najczęściej studiom.

niowym i miernej działalności. Jedynie w Niewodnicy Koryckiej, w niewielkiej świetlicy, Ala Krawczuk potrafiła wykreować trochę autentycznego zapału, który ujawnił się w pracy zespołów artystycznych. Pozostałe placówki ograniczyły swoją działalność do wypożyczania książek z podręcznej biblioteczki, włączania telewizora, zaś w sobotnie wieczory — urządzania dyskotek.

SZYBKA DECYZJA

Naczelnik gminy, inż. Eugeniusz Perkowski wykazuje sporą orientację w sprawach wiejskiej kultury. Mówi o jej brakach i niedociąganiach, nie zawsze odpowiednim doborze kadry i o potrzebach w tej dziedzinie. Choć w Turośni pracuje dopiero od roku — zna wszystkie kluby i świetlice, wie, czego można się po nich spodziewać. Nie chce godzić się z istniejącą sytuacją. Uważa, że sorawy te można zalać tylko we własnym zakresie, gdyż na inwestycje kulturalne nikt mu pieniędzy nie da.

Przed rokiem zdecydował, że Turośń Kościelna będzie miała swój Gminny Ośrodek Kultury w zachowanym zabytkowym dworcu. Po przeprowadzonych pertraktacjach w spra-

W PEJZAŻU GMINY

Z Turośni Kościelnej zaledwie sześć kilometrów do Białogostoku i tylko dwanaście do Łap. Podmiejskość gminy dostatecznie

Dotykanie eksponatów

stębiarstwa Przemysłu Drzewnego, że Hajnówka ma nie tylko jakiegoś artystę, ale i zaprzyjaźnionych do niego artystów. Przez dziesięciolecie zbierała się tego niemało, a nawet o wiele za dużo, jak można wnioskować z tego, co się z rzeźbą umiało w Hajnówce i Białymstoku.

nie było przez specjalistów z Białogostockiego Biura Wystaw Artystycznych. Po tygodniach intensywnego eksponowania przed pałacem na ul. Dąbrowskiego z wystawy powstała całkiem inna ekspozycja, co do rodzaju panowania obrazu i rzeźby, marności tego świata. Postrzępione z cokołów, ułożone w białe ekspozycje na dachach zabraniających dotykania eksponatów. Owa nietaktyczność rozciąga się najdotkliwiej również i na BWA. Nie ma to jak ekspozycjom.

Fot. R. Sienko — CAF

wie kupna z dotychczasowym właścicielem, Janem Juszczykiem, sporządzono akt notarialny, który stał się podstawą prawną do rozpoczęcia prac, związanych z restauracją zabytku i przystosowaniem go na GOK.

Stalo się to już na początku urzędowania inż. Perkowskiego, a obecnie przygotowywany jest projekt techniczny remontu i adaptacji budynku. Do tak szybkiej decyzji w sprawach kultury skłoniło naczelnika wiele powodów. Przede wszystkim — uważa — uratowanie dworca od niechcianej ruin sprzyjać będzie ciągłości tradycji tej miejscowości, integracji mieszkańców, słowem — będzie celem całej gminnej społeczności. Inna sprawa — bodaj najważniejsza — to właściwe i atrakcyjne zorganizowanie czasu wolnego dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Naczelnik ogromnie liczy na przyszłą działalność kół zainteresowań, a nade wszystko — zespołów artystycznych. Bo teraz — dodaje z zapałem — na każdą gminną uroczystość musimy sprowadzać zespoły z innych miejscowości.

PRZEWAŻA OPTYMIZM

Dworek stoi na skraju wsi. Wiedzie doń błotniste gościniec, bo na zapomniany do niedawna odcinek drogi nie starczyło już asfaltu. Szary tynk budynku wyraźnie odcina się od czerwonej dachówki. Na ścianach rysy i ślady przeróbek. Widać, że coraz to nowi właściciele zmieniali ów dom według własnych gustów i potrzeb. Odruchowo nasuwa się spostrzeżenie: aż tyle tu roboty!

Przed Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków — Jerzym Tryburskim zdradzam opowiadanie, czy gra jest warta świeczki i czy koszty przebudowy nie będą zbyt wysokie?

Okazuje się, że stan budynku nie jest jeszcze zły i że znacznie gorsze zabytki „wyciągano” z podobnych obiektów. A gwoli ścisłości — informuje konserwator — budynek w Turośni Kościelnej to pawilon myśliwski z osiemnastego wieku, który przetrwał do naszych czasów jako jeden z nielicznych na tym terenie. Zachowała się w nim bardzo dobrze pierwotna więźba dachowa z ciosanych belek. Niewielkiemu odkształceniu uległ układ przestrzenny wnętrza posiadający boazerie, okienknie, autentyczne lukrowe skrzynia drzwiowe oraz charakterystyczne dla baroku kominki.

Historia pawilonu jest niezupełnie znana. Ostatni właściciel, pan Juszczyk, pamięta, że jego dziad Aleksander kupił ów dom wraz z przyległościami od jakiegoś generała rosyjskiego, dowódcy pułku husarów. Przedtem był on własnością szlachcika Zimnoch, a jeszcze dawniej hrabiny Jabłoskiej.

Naczelnik Perkowski jest optymistą. Zakłada, że w ciągu dwóch lat budynek zostanie odremontowany i zaadaptowany na cele kulturalne. Wiele już teraz, że prace przy zakładaniu centralnego ogrzewania wykonano Białogostockie Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnych — zakład, z którym gmina Turośń zaprzyjaźnia się podczas wiosennej Dekady Kultury Wsi. A wtedy urządził się tam gminna biblioteka, sale klubowe, kawiarnię w piwnicy i muzeum regionalne.

Pełne optymizmu są też dwie nauczycielki — Danuta Wiecko i Halina Komenda, które w idel nowego GOK-u dopatrują się szerszego sensu: początku społeczno-kulturalnej działalności w całej gminie.

MOŻLIWOŚCI I PERSPEKTYWY

Michał Wiecko — wspomniany już emeryt z Pomogaczów powiada, że do kultury trzeba mieć serce, a odpowiednim do tej pracy będzie człowiek, który nie liczy godzin oraz zna metody i drogi doświadczenia. Zapytany co sądzi o turośńskich inicjatywach, odpowiada szczerze, że praca w nowym GOK-u zależy przede wszystkim od zespołu ludzi, bo oś znaczący sam choćby najnowocześniejszy budynek...

W Turośni rozpoczęto prace nie tylko w sferze kultury. Buduje się leżące weterynaryjne, dworzec PKS, obiekty administracyjno-socjalne (z mieszkaniami dla specjalistów, w tym także pracowników kultury), kompleks rekreacyjny z basenem kąpielowym, brodzikiem i boiskami sportowymi. Planowana jest także budowa zalewu poprzez asfaltowanie wód Turośnianki. Ulice będą wyasfaltowane, chodniki ułożone, a każde gospodarstwo wzorem porządku i ładu.

LUDMIŁA CHALECKA-POŁOCKA



ki, a telewizora zakupionego chyba za czasów króla Cwiczka żaden ZURT nie chciał już naprawiać... Trzeba było konieczne trochę pieniędzy, ale chociaż obokendowałam wszystkie władze, niczego nie uświadczylałam oprócz dobrych rad, abym dała sobie spokój z remontem, bo nikt mi na ten cel grosza nie uświadczył, choćbym na uszach stanęła.

Zdenierowało mnie to niemiłosiernie i pewnego dnia zerwałam się skoro świt i pojechałam „Kujawiakiem” do Warszawy, aby tam wyprosić jakieś rozwiązanie moich remontowych kłopotów. Liczyłam (w najlepszym wypadku) na kilkanaście tysięcy złotych, ale akurat trafiałam na wspaniałego i dobrego człowieka i dostałam okragie... pół miliona! Tańczyłam z radości idąc Nowym Światem... ludzie oglądali się, że to kochany zarząd na wiadomość o obiecanej dotacji (a zwłaszcza jej wysokości) wysłał mnie szybko na zaległy urlop, myśląc, że zwariowałałam i mogę być niebezpieczna dla otoczenia. Jednak po paru dniach zostałam z urlopu odwołana i kiedy wszedłam do placówki byłam pewna, że zarząd mnie zamorduje (takie mieli miny!). Przez dwie godziny musiałam wysłuchiwać gromów, że powinnam siedzieć cicho, a nie starać się o pieniądze (i to taakie), że to skandal itd. Wyrzynałam!

Zaczęła się remont, nikt z zarządu nawet końca nosa nie pokazał, a ja — zajmując się z konieczności wszystkim — sparszywałam zupełnie (jestem alergikiem) siedząc cały dzień na kupach cementu, wapna i przeróżnych farb — ale byłam szczęśliwa, że coś się nareszcie dzieje i placówka będzie urodziwa, że hej!

I była rzeczywiście śliczna... Ale już beze mnie. Pod koniec remontu ciężko zachorowałam (wtedy wspomniana alergja) a zarząd skorzystał z okazji, że mnie chwilowo nie było i przelał mi do domu wiadomość, że winnam się nareszcie wycofać, bo — cytując: „nikt nie potrzebuje tu kierownika, który ma jakieś podejrzenia znajomości w Warszawie i on! wolą młodą dziewczynkę, nawet bez żadnego wykształcenia, byle była posłuszna i robiła, co każą”. Autentyczne!

I tak po czterech latach ciężkiej harówki dostałam „kopa” i to właśnie wtedy, gdy spodziewałam się nareszcie jakiegos uznania i dobrego (choćby) smutku... Zespół oczywiście musiał się też wycofać... to było bardzo smutne! Potem zaczęłam szukać pracy. Miałam przecież i wysokie przygotowanie fachowe i sukcesy w pracy, jak żaden działacz w województwie. Ale jakoś i z pracą było ciężko.

Mój wyjazd z zespołem na festiwal berliński wzbudził wokół mnie u niektórych władz jakąś dziwną niechęć — choć nigdy o to przecież nikogo nie prosiłam — i wkrótce wiedziałam już jasno, że muszę szukać pracy poza zabytkowym miastem, mimo że od lat dla niego pracowałam, godnie go reprezentując i — co tu ukrywać — kochając je całym sercem.

Poszłam więc w teren. Od dwóch lat objełam stanowisko dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury, czyli znów zaczęłam najprawdziej „orkę na ugorze”, gdyż ów GOK trzeba było dopiero budować, a do tzw. „eksploatacji kulturalnej” oddano mi klub „Rolnika”, niedawno nawet wybudowany, a który to stanowił wzorzec wszystkiego co najgorsze, najnieuczciwsze — w całym tego słowa znaczeniu. Jak bowiem można wznosić za ciężkie pieniądze społeczne obiekty kulturalne bez — wody, ubikacji, szatni, telefonu i... ogrzewania! Dwa kafelowe piece na dużej salę były bowiem ciężką kłpiną ze zdrowego rozsądku, jako że zapieczą na złożenie opału nikt nie przewidział — o czego więc piece? Podłoga na sali (chyba dla oszczędności) została położona wprost na gołej ziemi i deski były już zupełnie zgniatane, z grubym podkładem pleśni i zarywały się tu i ówdzie, narażając bywalców na zranienie nogi. Wcale się więc nie zdziwiałam, kiedy niedługo trzeba było czekać, a odpowiedzialni za budowę tego przelicznego obiektu zafasowali mi mniej przeliczne wyroki sądowe (w tym sam naczelnik gminy), które były na pewno sprawiedliwe, tylko że o wiele za niskie, biorąc pod uwagę stopień szkodliwości społecznej.

Robota znów potoczyła się normalnym torem. Klub „Rolnika” stanowiący obecnie filię przyszłego GOK-u wyposażałam w najnowszą aparaturę nagłaśniającą, radio i adapter (stereo), telewizor (oczywiście kolor!), nowoczesne stoliki, ekstra wygodne foteliki, pianino itd. Oczywiście, na to wszystko wynosilemowałam pieniądze we wszystkich urzędach wojewódzkich — jakie tylko dałam radę obiecać. Miejscowy GS otworzył buł, dostalam dwa etaty instruktorskie, jakoś szło. Urząd Gminy (z nowym naczelnikiem na czele) w niczym mi nie przeszkadzał — ale również zupełnie nie pomagał. Budowę GOK-u odkładano pod różnymi pozorami z miesiąca na miesiąc i tak upłynęły dwa lata i ja ciągle mam do dyspozycji (dla wszystkich mieszkańców gminy) jeden jednoizbowy klub. Wodę nosimy nadal wiadrami ze studni ucinynego sąsiada, przez sporechniałe deski podłogi wygląda filuternie zielona trawka, wyposażenie (wystarane za ciężkie pieniądze) butwieje z wilgoci. I znów zimno! Susza się na dworze, albo (w zimie, tylko dla personelu) do wiaderka, ustawionego na zapleczu bufetu klubu, między paczkami kawy „Super” i słonymi paluszkami... Autentyczne — przysięgam!

Ala jest doskonały (taki!) zespół estradowy „Drozd” śpiewający pięknie na cztery głosy. Cwiczcy oczywiście, w jednym z gościnnych klubów zabytkowego miasta, bo u mnie fortelisz z zimna ogłuchił zupełnie. Sekcję modelarstwa lotniczego przygarnęła Gminna Szkoła Zbiorcza, podobnie jak inne sekcje — tylko młodzieżowe studium prawa spotyka się wernie we własnej „łodowce”, czyli klubie. Młodzież — zresztą cudowna — siedzi w plaszczach, czapkach i rekawiczkach, ale prowadzi zażarte dyskusje na szalenie ciekawych prelekcjach, które chwyliły i mimo absolutnego braku warunków do pracy — cieszą się wzruszającym powodzeniem.

Kiedy wreszcie wybudują ten GOK, żeby te biedne dzieciaki miały nareszcie ciepło, no i jakieś normalne warunki, jak wszędzie... Tyle można przecież zrobić ciekawych i pożytecznych rzeczy, dlatego tyle trzeba czekać, kiedy i pieniądze są i jest miejsce na budowę. Jedna sala na 200 miejsc stoi od kilku lat w stanie surowym, choć ludzie chcą pomóc w czynnie społecznym, czekają! — do diabła z taką robotą!

A cóż ja! Śnując te parę słów refleksji, leżę sobie na szpitalnym łóżku. Dwa lata obecnej pracy w warunkach wyżej wspomnianych mogłyby wykończyć nawet konia. Chroniczne przebiegnięcia i alergja (na pleśń i kurz) zrobiła swoje. Leżę już dość długo, dumam — i jest mi lyso. Tyle lat naprawdę ciężkiej harówki i ciągle pod górę. I czego właściwie się dorobiłam przez te lata? Sukcesy? — nikt mi za te niedy nie podziękował, więc czy warto? W szpitalu (gdzie leżę pierwszy raz w życiu) nikt o mnie nawet nie zapytał oprócz młodzieży z zespołów, a przecież znałam mnie tu wszyscy, jako że od lat byłam zawsze i na każde zawołanie...

Kolekdy mówią, że gdybyśmy cicho siedzieli i buzię trzymała na kłódce — to i medale by były i wycieczki zagranicę (jak dla innych), ale ja musiałam wojować i rozpłaszczać ożar gdzie trzeba i nie trzeba — i teraz mam za swoje! Do licha z tym. Objeżdżę się bez medalu i uznania — chyba przecież wykonana robota najbardziej się tu liczy, ale dlaczego tak?

Wszyscy mówią pięknie, że kultura jest ważna i potrzebna, więc chyba trzeba pomagać ze wszystkich sił, aby jej ścieżki były równe i gładkie...

„DZIAŁACZKA”

lowaniu powstania Polaków nad Białką w 1866 roku. Jego syn — Włodzisław — złożył w Irkucku obserwatorium magnetyczne, które dziś rozrosło się w potężny akademicki instytut. Syn zaś Włodzisława, profesor Siergiej Szostakowicz ma obecnie 75 lat, jeszcze nie tak dawno przewodniczył oddziałowi Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Przedstawiciel czwartego pokolenia tego rodu, nazwany na cześć dziadka — Bolesławem to aktywny działacz „Wisły”, wykładowca Uniwersytetu Irkuckiego, kandydat nauk.

między oddzielnymi grupami polskimi i rosyjskimi zeszłać pomoc i wspólną rewolucyjną walkę.

Sam Kowal pochodził z rodziny ukraińskich przesiadłców, którzy wyruszyli równocześnie z polskimi przesiedleńcami w latach dziesiątych naszego stulecia i osiedlił się na terenach odległych o 100 kilometrów od Irkucka. I dziś istnieje tam czyste polskie osiedle Wierszyna, której mieszkańcy zachowali swój narodowy charakter i obyczaje.

Razem z Niną Ignatiówną Artiemiewą, pracownikiem naukowym muzeum obwodowego w Irkucku i kierownikiem muzeum otwieranego w kościele, wchodzą do dawnej świątyni. Podstawowe prace szkieletowe zostały zarekonstruowane i piękno jukowatych

przychodzi wielu ludzi, informując o znanych im potmach polskich zesłańców, a ci ostatni przekazują w darze bezcenne rodzinne relikwie.

Są też listy z Polski. Zawierają między innymi prośby o znalezienie grobu pradziadka i dodatkowe informacje o nim, prośby o nawiązanie stałej korespondencji, zdjęcia i materiały o Syberii.

— Jak na razie muzeum ma tylko jednego etatowego pracownika i nie na wszystkie listy udaje się odpowiedzieć od razu — powiada Nina Artiemiewa.

Muzeum to nie tylko przeszłość, to także dzieje dzisiejszej Polski. Warszawskie plaskówki przysyłają tutaj różne dokumenty z historii polskiego ruchu rewolucyjnego. Interesujące eksponaty przekazał

darze pracownicy trzech polskich wystaw, które odbyły się w ostatnich latach w Irkucku.

W drugiej połowie czerwca miało miejsce kolejne posiedzenie klubu „Wisła”. Odbyło się ono w irkuckim Domu Architektury i poświęcone było w całości przyszłemu muzeum polskiemu. Na poprzednich spotkaniach czczone jubileusz Szopena, wykonując jego utwory, śpiewano pieśni w języku polskim. Bywały też posiedzenia „Wisły” przy świecach, z grą na fiszarmonie, recytowaniem wierszy.

Na ostatnim spotkaniu w „Wisła” omawiano historię i problemy restauracji kościoła. Pierwszą pogadankę wygłosił Bolesław Szostakowicz. Przedstawił interesujące informacje o tym pomniku. Pierwszy kościół był drewnia-

WIKTOR SIESIEJIKIN (Tłum. A. Zagórska)

— Aktualnie nasze stowarzyszenie zrzesza 60 członków w wieku od 25 do 70 lat, ale nie musimy się niepokoić o przyszłość w dziedzinie sztuki, choć problemowi temu poświęcamy sporo czasu. Pomagamy naszym członkom w organizowaniu pracowni. Jest to o tyle ważne, że na rynkach światowych wzrost jakości nie popyt na polskie instrumenty. Dotychczas nigdy nie eksportowaliśmy skrzypiec, dziś — podejmujemy ten eksport, choć wymaga to uregulowania wielu spraw prawnych. W naszym imieniu są-

Stale prowadzimy doskonalenie naszych członków. Zobligowujemy nas do organizowania między narodowych seminariów lutniczych, co pozwoli nam wplywać na wykształcenie i wydoskonalenie twórczym specjalistów od konserwacji starożytnych instrumentów, a także chronimy stare instrumentarium. W tym zakresie owocnie współpracujemy z władzami centralnymi; ostatnio przełożono nam wydział, który posiadał prawo przystępu do granic. Przy okazji uratowano kilkana nieżywecych cenny instrumentów z XVIII wieku. Tak więc — działamy uszczególnie na wielu polach, troszcząc się aby nie co cennie — z dorobku narodowej kultury nie zginęło.

Grubo, ciepło, wszystko z wełny — oto przykazy mody nadchodząca zimą. CAF — A